

Odchudzanie państwa, czyli dawałanie słabszym

27 kwietnia 2020

Cokolwiek nie działałoby się w Polsce, jednego możemy być pewni: popularnością będzie się cieszyła idea taniego państwa, znoszenia regulacji i zestaw podobnych pomysłów, które mają wprowadzić oszczędności i zwiększyć efektywność. Wszak powszechnie wiadomo, że nic tak nie polepsza wydajności danej rzeczy, jak próba przyoszczędzenia na niej. Nie powinno zatem dziwić, że pandemia stała się okazją do forsowania tej niebezpiecznej idei.

„Zanim skończy się epidemia, należy zawieszać niepotrzebne rygory, może np. RODO, a następnie je znieść i ograniczyć biurokrację generującą koszty i pętającą nasze życie i aktywność gospodarczą” – czytamy w tekście Marka Domagalskiego w „Rzeczpospolitej”. Pomińmy już fakt, że RODO to rozporządzenie unijne i Polska nie może go dowolnie zawieszać – z pomysłami Domagalskiego jest głębszy problem.

Kiedy czytam takie wezwania, od razu przypomina mi się obserwacja amerykańskiego ekonomisty Roberta Reicha. Wspomina on, że gdy był sekretarzem pracy w administracji Billa Clintona, to miał ambicję tworzenia prostych i przejrzystych przepisów. Nie mnożmy regulacji, nie komplikujmy – takie było założenie. Tylko co się okazywało? Gdy już udało się napisać proste prawo, to do gry przystępowali korporacyjni lobbyści, do których zalicza się również część polityków. Tu trzeba zmienić, tu potrzebny jest wyjątek, tu kolejny – mówili. Administracja rządowa się łamała i tak oto powstawały zawiłe regulacje, do których nie ma co podchodzić bez prawników. Nie dlatego, że źli urzędnicy lubią wszystko utrudniać, a państwo jest rozbuchane, ale dlatego, że państwo jest słabe i łamie się przed reprezentantami „wolnego” rynku (swoją drogą, Elizabeth Warren w rozmowie z Reichem wspomniała, że

najlepszym sposobem na uchwalenie dobrego prawa w USA jest utrzymywanie go możliwie długo w tajemnicy przed korporacyjnymi lobbystami).

Na ogólniejszym poziomie podobną prawidłowość zauważył David Graeber w książce „Utopia regulaminów”. Neoliberalna rewolucja zapoczątkowana przez Reagana i Thatcher opierała się na obietnicy odchudzania państwa, znoszenia bezsensownych regulacji i ograniczania biurokracji. Brzmi wspaniale, prawda? Każda dorosła osoba zna frustracje związane z niewydolną biurokracją, niemiłymi urzędnikami czy koniecznością wypełniania bezsensownych formularzy. Kiedy więc Reagan mawiał: „Najbardziej przerażające słowa w języku angielskim to: jestem z rządu i chcę ci pomóc” – mogli się z tym utożsamić nie tylko użytkownicy angielszczyzny. Ale ta neoliberalna obietnica to był zwykły PR – tak naprawdę regulacje i biurokracja po neoliberalnej rewolucji miały się dobrze, po prostu zaczęły jeszcze bardziej sprzyjać tym, którzy mają (im więcej, tym lepiej), a mniej tym, którzy nie mają. „Zakrawa to na paradoks – pisze Graeber – polityka, która ma ograniczać ingerencje rządu w gospodarkę, w praktyce zawsze kończy się tym, że przybywa regulacji prawnych, biurokratów i funkcjonariuszy policji”.

No ale może to dlatego, że nadal nie jesteśmy w prawdziwym kapitalizmie, nadal nie mamy prawdziwego wolnego rynku uwolnionego z kajdan państwowych regulacji? Problem polega na tym, że sama idea „wolnego rynku niezależnego od państwa” jest nierealizowalną utopią, która opiera się na błędnym przekonaniu, że rynek jest bytem niezależnym od państwa.

„Historia gospodarcza dowodzi, że narodziny rynków krajowych w żadnym wypadku nie były skutkiem stopniowego i spontanicznego uwolnienia sfery gospodarczej od kontroli państwa. Przeciwnie, ukonstytuowanie się rynku wynikało ze świadomej i często gwałtownej interwencji ze strony państwa, które narzucało społeczeństwu organizację rynkową w celach pozaekonomicznych” – pisał lata temu Karl Polanyi w „Wielkiej transformacji”.

Jeszcze zgrabniej ujął to wspomniany wcześniej Reich w książce „The Common Good”: „państwo nie ingeruje w rynek, ono go tworzy”.

Tak naprawdę – powiada słusznie Reich – nie mamy wyboru między regulacjami a ich brakiem, lecz między regulacjami, które sprzyjają tym albo innym grupom społecznym, w zależności od tego, jak są skonstruowane. Komu zaś najczęściej sprzyjają regulacje wprowadzane pod płaszczykiem „znoszenia regulacji”? Ha-Joon Chang, koreański ekonomista, pisze o tym w „23 rzeczach, których nie mówią wam o kapitalizmie”: „Kiedy więc wolnorynkowi ekonomiści mówią, że nie powinno się wprowadzać pewnej regulacji, bo ograniczyłaby ona »wolność« na jakimś rynku, to po prostu wyrażają polityczną opinię o tym, że odrzucają prawa tych, których proponowane ograniczenia miałyby bronić. Zakładają ideologiczną maskę, która ma nas przekonać, że prowadzona przez nich polityka nie jest tak naprawdę polityczna, ale stanowi obiektywną ekonomiczną prawdę, podczas gdy polityka innych ludzi jest polityczna. A tak naprawdę wolnorynkowi ekonomiści są w równym stopniu politycznie motywowani, co ich oponenti”.

Tak więc zamiast zniesienia regulacji, domagajmy się regulacji, które działają na rzecz ludzi pracy, na rzecz wykluczanych i zapominanych, na rzecz ludzi, których nazywamy dziś bohaterami i bohaterkami: od pielęgniarek po osoby sprzątające nasze ulice – a nie na rzecz wielkiego biznesu. Zamiast taniego państwa, domagajmy się państwa mądrego i solidarnego, które chce budować dobrobyt dla wszystkich, a nie dla garstki. Zamiast odchudzania, domagajmy się inwestycji, które dziś potrzebne są szczególnie, jeśli chcemy uniknąć załamania gospodarki.

Autorstwo: dr Tomasz Markiewka

Źródło: NowyObywatel.pl